Dodatek do Nr. 22 „Prawdy".

RODZINA
PISMO POŚWIĘCONE WYCHOWANIU I NAUCE DOMOWEJ.

Numrer 11. Sobota, dnia 30-go Maja. Rok 1908

A. GENNEVRAYE.

ULICZNIK.

POWIESC Z FRANCUSKIEGO.

(Ciąg dalszy).

Po godzinie Jan powrócił. Izydor nie był w sklepie i nie zapłacił rachunku.

Sierżant otarł pot z czoła. Nie chciał go oskarżać, a jednak podejrzenie mimowoli zbudziło się w jego duszy. Za nic w świecie nie byłby teraz stanął przed generałem.

Jan sam udał się na górę i zjawił się wkrótce znowu. Weteran czekał na niego przy schodach.

— Cóż? — zapytał drżącym głosem.

— Generał wysyła zaraz do prefektury i do trupiarni, żeby się dowiedzieć, czy nie zaszedł jaki wypadek.

— Więc przypuszcza wypadek? — szepnął stary żołnierz nieśmiało.

— A cóż innego? Chłopiec roztropny, mogło się jednak coś zdarzyć, stary nie ustrzeże się tylu fiakrów i powozów.

— To prawda. Raz już złamano mu nogę w ten sposób.

I uspokojony cokolwiek udał się do swej izdebki. Nieszczęście mogło być straszne, lepsze jednak zawsze niż — co innego. Mógłby przynajmniej płakać po nim, nie wstydząc się swego żalu.

Położył się, chociaż wiedział, że nie zaśnie. Okropne myśli i obrazy płoszyły sen z jego powiek. Widział na noszach zakrwawione ciało Izydora, jego bladą jak niegdyś twarzyczkę, i smutne oczy, w których malowało się cierpienie. Odwracał głowę, nie mogąc znieść tego widoku... lecz wtem słyszy głos jego śmiejący się w gronie nawpół pijanych towarzyszy. Kości, wino i złoto leżą przed nimi na stole, nieme świadki wstrętnego występku.

Nie, nie! to być nie może! nie ma prawa myśleć tak o nim. Czyż chłopiec popełnił kiedy co nieuczciwego? Nikt w całym domu jeszcze nie posądzał go o nic, tylko on jeden, on jeden!...

Wstał o świcie i wyszedł zaraz, sam dobrze nie wiedząc, dokąd idzie. Od dyżurnego oficera dowiedział się, że w trupiarni, ani w prefekturze nic nie wiedziano o dziecku. Więc nie wypadek; tenby nie ukrył się przecież.

Była siódma, gdy stanął przy dobrze znanej mu ławce. Tu po raz pierwszy spotkał małego ulicznika. Jakieś przeczucie wiodło go dzisiaj w tę stronę wyobrażał sobie, że może zastanie go na niej. Jedno słowo, i wszystko wyjaśnionem będzie!

Lecz Izydora nie było. Nie było nikogo na pustej teraz Esplanadzie, i tylko drzewa wilgotne od nocnego deszczu poruszały ze smutnym szumem nawpół obnażone gałęzie. Dreszcz zimny przebiegł sierżanta: w tę noc dżdżystą i chłodną chłopiec nie miał dachu nad głową! Gdzież ją przepędził? Czy pod mostem jak niegdyś?

Skierował się ku brzegom Sekwany. Izydor lubił się tu bawić, nieraz przyprowadzał Adasia i przechadzali się razem po ożywionem wybrzeżu, przypatrując się statkom i ludziom, kąpaniu psów i łowieniu ryb na wędkę przez amatorów. Kto wie... mógł wczoraj... ziemia była tak śliska po deszczu... jedno złe stąpnięcie... i po wszystkiem.

Na tę myśl serce starego wojaka ścisnęło się nowym bólem. Nie było w nim wprawdzie upokarzającej goryczy, zdawało mu się jednakże, iż nie zniesie tego cierpienia. Szedł wciąż przed siebie, aż do mostu Alma, o który rozbijały się z hałasem spienione fale Sekwany. Rzeka wezbrała widocznie, mętne jej wody zalewały brzegi, niosąc pęki słomy, deski, gałęzie i wiązki siana. Kamienny żuaw przy moście patrzał na to wszystko wzrokiem nieruchomym, on jeden mógłby powiedzieć...

Nie, nie, ach Boże! czyż nie ma wyjścia z tej ciemności? Czyż nikt mu nie da odpowiedzi na dręczące zapytania?

Nikt! Pies ten chyba, co szczeka nad wodą, zgubiwszy widać swego pana. Czegóż on szczeka? Rzuca się, przeskakuje i odbiega znowu od jakiegoś ciemnego przedmiotu, leżącego na stosie belek.

Co to być może?

Porusza się, siada, to dziecko! to on! Izydor!

Sierżant chciał krzyknąć, ale zabrakło mu głosu i tylko głośne chrapanie wydobywało się z gardła. Na ten dźwięk, chłopiec oddalony o kilka kroków zaledwie, obejrzał się, widzi go i — podnosząc

w górę ramiona, robi w powietrzu znak krzyża świętego — potem pochyla się naprzód.

Gaveau zrozumiał — z krzykiem rozpaczy rzuca się, aby go schwycić, zapominając o nodze — ta się pośliźga, stary żołnierz pada, lecz wyciągnięte jego dłonie silnie chwytają nogi chłopca.

Izydor zawisł nad przepaścią. Przez chwilę można było mniemać, że pociągnie za sobą swojego wybawcę, lecz stary żołnierz w leżącej pozycyi szybko odzyskał równowagę i nie puszczając zdobyczy, przeczołgał się do niej parę kroków.

Chłopiec zemdlał i bezwładnego wyciągnął teraz Gaveau z wysileniem, przypatrując się jego bladej, zmęczonej twarzy i oczom zapuchniętym od płaczu. Co to miało znaczyć? Gdyby Izydor przywłaszczył sobie pieniądze, czyż byłby tak nieszczęśliwym, aby szukać śmierci? Nie, nie, — tu coś innego zajść musiało.

Dziecko poruszyło się wreszcie, otwiera powieki i sierżant chwyta go mocno za rękę, z obawy, by po raz drugi nie chciał się rzucić do Sekwany. Ale Izydor chwilę tylko patrzy na niego wzrokiem błędnym, nagle podnosi się gwałtownie i z rozpaczą chwyta za głowę.

— Ach, sierżancie, takie nieszczęście!

Wyraz, z jakim wymówił te słowa, echem prawdy odbija się w duszy sierżanta. Więc jest niewinnym! o Boże!

— Mów, — rzecze. — Czyż nie widzisz, co wycierpiałem od wczoraj?

— A ja? Okradziono mię. Zabrano mi sto franków!

— Oh, oh, to nie żarty. Mów całą prawdę, Izydorze, chcę wiedzieć wszystko... nie kłam.

— Po cóż bym miał kłamać? przecie ich nie odzyskam. I tak mi nikt nie uwierzy, prócz ciebie, sierżancie... jestem zgubiony, zgubiony!

I zaczął płakać nanowo, rzuciwszy się twarzą na ziemię.

— Słuchajno, Izydorze, — bądź rozsądnym, opowiedz mi, jak to było, a potem zobaczymy. Może się znajdzie jaki sposób.

— Wyszedłem z domu koło drugiej, aby odnieść sto franków do sklepu pana Zellera. Przechodząc koło teatru, ujrzałem gromadkę ludzi, otaczających chłopca i dziewczynę, którzy grali i śpiewali włoskie piosenki. Zbliżyłem się i poznałem Zitę. Karlo grał na gitarze, a ona tańczyła, uderzając zręcznie w tamburyno. Wyładniała bardzo i urosła, przytem była tak ślicznie ubraną! Zawołałem na nią po imieniu, kiedy skończyła tańczyć, i poznała mię natychmiast.

— Izydor! — szepnęła radośnie, ujmując mię za rękę. Pójdź z nami!

Wytłomaczyłem jej w krótkości, iż jest to niepodobieństwem, ponieważ służę u generała.

— Więc nigdy nie jesteś wolnym? — zapytała z żalem.

— Bardzo rzadko.

— A teraz gdzie idziesz.

— Do jubilera zapłacić rachunek.

I pokazałem jej sto franków.

— Pójdź z nami — rzekł Karlo — wypijemy za twoje zdrowie, ja płacę.

Chciałem odmówić, lecz Zita wzięła mię pod rękę i spojrzała w oczy serdecznie.

— Pójdź, caro mio (drogi mój) — odezwała się jak niegdyś słodkim głosem. — Tak dawnośmy się nie widzieli, tyle rzeczy mam ci do opowiedzenia.

Źle zrobiłem, że poszedłem, ale Zita była dla mnie zawsze tak dobrą!... Wstąpiliśmy do traktyerni, Karlo kazał podać piwa, Zita mówiłą bez ustanku. We Włoszech nauczyła się śpiewać i zarabiają teraz wcale nieźle. Karlo usiadł koło mnie i częstował ciągle. Było mi jednak nieprzyjemnie, obawiałem się, że zadługo bawię. Nagle Zita pobladła, spojrzałem na nią przestraszny, lecz Karlo kazał jej śpiewać. Gdy skończyła, podał mi rękę z uśmiechem.

— Zaczekajcie tu na mnie, — rzekł, — zaraz powrócę.

Pozostawszy sam z Zitą, zapytałem jej, czy jest szczęśliwą.

Odpowiedziała mi nawpół z płaczem, że Karlo bije ją i wydaje wszystkie pieniądze. — Unikaj go, szepnęła smutnie, radziłabym ci nawet nie czekać jego powrotu.

To mi przypomniało, że i tak straciłem dużo czasu. Wstałem, aby się pożegnać, lecz chłopiec posługujący zażądał zapłaty za piwo. Sięgnąłem do kieszeni, gdzie miałem 20 su, i wtedy dopiero spostrzegłem, że nie ma w niej stufrankowego biletu. Wywracam kieszeń, szukam, napróżno!

— Twój brat mię okradł! — krzyczę przerażony, nie wiedząc prawie, co się ze mną dzieje.

Zita pobladła.

— Nieszczęście! On cię zabije, jeśli mu to powiesz! — jęknęła.

— Gdzie on jest? — pytam z rozpaczą.

Lecz Zita sama nie wiedziała.

— Jeśli zabrał ci pieniądze, nie zobaczę go tak prędko — mówiła. — Będzie hulał, dopóki nie wyda ostaniego franka.

Nie chciałem jej wierzyć i żądałem, żeby mię zaprowadziła do swego mieszkania. Płacząc, wyszła ze mną na ulicę.

— Nie chcę, żebyś go spotkał — mówiła. — Jest silniejszy i wyższy od ciebie, zabije cię z pewnością. Wolę, żebyś stracił sto franków.

— Ależ to pieniądze generała!

Gdy przybyliśmy na miejsce, wbiegłem pierwszy na wschody, myśląc, że go znajdę w mieszkaniu. Ale nikt tu o nim nie wiedział, nie pokazywał się wcale.

Postanowiłem czekać. Zita płakała ciągle, przysięgając mi, że brat jej nie wróci tak prędko, że kilka dni upłynie, zanim pokaże się w domu.

Cóż miałem robić? Jak wracać bez pieniędzy?

Nakoniec około pierwszej po północy nie byłem wstanie dłużej wytrzymać w zamknięciu. Wybiegłem na ulicę w nadziei, że spotkam go może, lub znajdę w jakiej kawiarni. Napróżno. Na bulwarach usiadłem na ławce, byłem bardzo zmęczony. Nie płakałem już, lecz nie miałem żadnej nadziei. Od czasu do czasu sięgałem do kieszeni, gdyż zdawało mi się, że może — może znajdę w niej pieniądze. Wszystko to, co się stało, było jakby snem okropnym, z którego nie mogłem się obudzić. Wiedziałem, że nie mogę pokazać się generałowi, a coś mię ciągnęło w tę stronę. Pragnąłem chociaż zdaleka zobaczyć dom, kraty, ogród, nawet wielką armatę. Noc jeszcze była i deszcz padał, gdy znalazłem się na Esplanadzie. Usiadłem na naszej ławce

i nie wiem, kiedy zasnąłem, lecz gdy otworzyłem oczy, dzień już świtał na niebie.

Wtedy ogarnął mię przestrach. Wyobraziłem sobie, że lada chwila nadejść tu może kto od nas i zapytać, co zrobiłem z pieniędzmi. Najbardziej jednak bałem się ciebie, sierżancie. Zdawało mi się, że jestem jeszcze nieszczęśliwszy niż wczoraj i płacząc, szedłem wzdłuż rzeki. Tu zatrzymałem się wreszcie, było tak pusto — nogi uginały się podemną. Patrzałem na mętną wodę niosącą deski i słomę, i nagle przyszło mi na myśl, że gdybym utonął, niktby się nie dowiedział, że mi skradziono owe nieszczęsne sto franków.

Cóż miałem robić? Nie chciałem widzieć cię więcej, ani nikogo. Zacząłem liczyć źdźbła słomy i powiedziałem sobie, że jak naliczę do piętnastu, rzucę się do wody. Już dwanaście przepłynęło, kiedy usłyszałem krzyk twój, sierżancie, przerażony, zapomniałem o wszystkiem, i gdybyś mię nie zatrzymał...

Chłopiec spuścił głowę na piersi. Przez chwilę trwało milczenie.

— Przysięgasz więc, że to wszystko prawda, odezwał się wreszcie stary wiarus, bystro spojrzawszy w oczy Izydora.

— Przysięgam, panie sierżancie! Pocóż bym się tu wracał, gdybym sobie przywłaszczył pieniądze!

— Uściskaj mię, moje dziecko! Nieszczęście każdego spotkać może. Jesteś uczciwym chłopcem, to wszystko, czego pragnąłem.

Stary wojak odwrócił głowę, usta jego poruszały się nieznacznie, Izydor spostrzegł, iż robi znak krzyża świętego, domyślił się, iż odmawia dziękczynną modlitwę.

Obaj milczeli czas jakiś.

— Co tu robić? — szepnął wreszcie Gaveau.

— Mam 25 franków w kasie oszczędności, oddam je generałowi.

— Tak, ale reszta? — Krzyż mój chyba zastawię. Poczciwa pani Lanson zaufa mi może i pożyczy 75 franków.

— Och. sierżancie! taka ofiara!

Weteran ruszył ramionami.

— Czy myślisz, że wolałbym widzieć twego trupa? Pójdź, trzeba wszystko opowiedzieć generałowi. Nie będzie to przyjemne! Sapristi! wolałbym stracić drugą nogę!

— Czy myślisz pan, że mię wypędzi?

— Uwierzy ci, skoro mówisz prawdę. To człowiek sprawiedliwy i rozumny.

Udali się przedewszystkiem do sklepiku pani Lanson. Otwierała go właśnie, gdy spostrzegła sierżanta z Izydorem. (Ciąg dalszy nastąpi.)

Powietrze a zdrowie i życie ludzkie.

Ziemia nasza, jak wiadomo jest okrągłą kulą. A cała ziemia w około, a więc wszystko co się na niej znajduje: morza, góry, wsie, miasta, lasy, ogrody, pokrywa warstwa powietrza dziesięć mil gruba, zwana atmosferą lub powietrznią.

Po za tą granicą nic żyć nie może, bo tam już niema powietrza. Wprawdzie powietrza nie widzimy, jednakże ludzie uczeni zbadali, że ono jest mieszaniną, złożoną z kilku gazów.

Najważniejszą częścią składową powietrza jest gaz, zwany tlenem. Tlen możnaby nazwać inaczej gazem życiodajnym. Takie on ma znaczenie w powietrzu, jak dusza w człowieku. Powietrze o tyle dla życia wszelkiego ma wartość, o ile w nim jest tlen. Gdyby go zabrakło, cała ziemia, wesoła, kwitnąca, zielona, zamieniłaby się w jeden ponury cmentarz, wymarłoby wszystko: rośliny, zwierzęta i ludzie. Nie tylko życia żadnego, ale nawet światła, ni ognia bez tlenu być nie może.

Zauważyliście nieraz Czytelnicy, że w małej izbie, a nawet i w dużej, gdy się wiele nagromadzi ludzi, to ani lampa, ani świeca nie chce się palić. A dlaczego?

Otóż właśnie dlatego, że ci zgromadzeni ludzie, oddychając spostrzebowali powietrze i będący w powietrzu tlen, w izbie zatem mało pozostało powietrza i mało tlenu, a bez niego nie masz ni życia, ni światła.

Człowiek za każdem odetchnieniem wdycha w siebie pięć litrów powietrza, czyli jeden litr tlenu, a cztery litry innych gazów. Tlen, skoro się dostanie z powietrzem do płuc, miesza się tamże z krwią i daje jej siłę i moc żywotną.

Wytchnięte zaś powietrze zawiera gaz do oddychania niezdatny, zwany kwasem węglowym. I dziwna rzecz, kwas ten węglowy, jaki człowiek, oddychając, wydaje, jest dla ludzi bardzo szkodliwy, zabójczy, a dla roślin znowu bardzo użyteczny. One nim żyją. Jak to Bóg mądrze, a dziwnie wszystko urządził!

Aby powietrze było dobrem i zdrowem do oddychania musi zawierać piątą część tlenu. Na wolnem powietrzu jest ilość tlenu zawsze ta sama, to też najzdrowiej tam przebywać. Tam zaś, gdzie wiele ludzi jak n. p. w szkołach, w szpitalach, w pracowniach fabrycznych, na zgromadzeniach mało jest tlenu w powietrzu, gdyż go ludzie oddychając spotrzebowali, natomiast wiele jest kwasu węglowego, jaki ludzie wydychują. Powietrze w takich miejscach ma woń niemiłą, jest duszne i do oddychania nie przydatne, a nawet szkodliwe. Przebywanie też w takich miejscach, zwłaszcza dla osób chorych na piersi bardzo niezdrowe.

Dlatego wieś daleko jest zdrowszą, niż miasto, gdzie zazwyczaj ludzi znacznie więcej, a mieszkania gęste i ludne. Tak samo pomieszkania obszerne, widne, o dużych oknach i często otwieranych zdrowsze, aniżeli małe izdebki, o jednym okienku, i to zawsze zabitem.

Nie żałować sobie tedy powietrza — otwierać okna choćby w trzaskające mrozy, izbę przewietrzać, bo za to podatku się nie płaci.

Dr. Wł. Borzęcki

WODA W POKARMACH.

Czego najwięcej na świecie?

Powietrza i wody. Powietrze otacza całą naszą kulę ziemską wielką masą, na wysokość co najmniej stu klm. ponad powierzchnią morza. Wody zaś zajmują prawie trzy czwarte części naszej ziemi, nie licząc rzek, stawów, źródeł i przeróżnych potoków. Woda wchodzi w skład wszystkich ciał

ziemskich, ba, sam człowiek składa się bez mała z trzech części wody. U dorosłego człowieka jest 58 części, a u małego dziecka 66 części wody. Na wagę człowieka wpływa przedewszystkiem ciężar zawartej w nim wody.

Wszystkie pokarmy, które spożywamy choć zdają się bardzo suche, przecież zawierają taką ilość wody, iż wprost zdumienie wywołać to musi u nieświadomych. Żadnej gosposi przez myśl nawet nie przejdzie, że kupując n. p. 2½ funtów mięsa wołowego, płaci w połowie za — wodę. Nawet chleb bardzo czerstwy zawiera około 47 procent wody, to znaczy, że na sto części suchego chleba, przypada do 47 części. Suszona kiełbasa ma 17 procent wody, zwykła wędlina do 50 procent wody. Daleko jeszcze więcej wody zawierają w sobie pokarmy roślinne; chleb świeży zawiera prawie połowę wody. Kto je gotowane ziemniaki, może śmiało powiedzieć, że je wodę, bo w nich jest wody 74 części.

Jedzenie owoców można nazwać piciem wody, gdyż przeciętnie mają one więcej, niż trzy czwarte części wody; tak n. p. wiśnia zawiera 84 procent wody, śliwka 89 procent.

Samo przez się rozumie się, że w napojach wody jeszcze więcej, zwykle bowiem wody używa się do ich wyrobu. Sama woda czysta ma w sobie 99 i pół wody, a na pół procent składają się różne sole rozpuszczalne w wodzie. Piwo zawiera dziewięć dziesiątych części wody. Mleko ma 87 procent wody, czasem daleko więcej, jeżeli która gosposia lubi je „chrzcić“.

Co ciekawe, że nawet tytunie zawierają ogromną ilość wody. Cygara mają jej 8 procent, papierosy do 12 procent, a każdy „niuch“ tabaki zawiera jedną trzecią, a nawet — zależnie od gatunku — dwie trzecie części wody. Ta wielka ilość wody w pokarmach, zastosowana jest do potrzeb człowieka, który bez wody żyćby niemógł, gdyż — jak powiedzieliśmy — ciało człowieka składa się bez mała z trzech części wody. W krwi, mięsie, kościach, wogóle we wszystkich częściach naszego ciała, nawet w szkliwie, które pokrywa kość zębów, jest woda. Nic więc dziwnego, że człowiek dużo potrzebuje wody, a Stwórca już tak urządził, że jej wszędzie jest poddostatkiem.

POD KRZYŻEM.

Powiedz-że, krzyżu!
Co cię dawnemi
Stawili laty,
Byś patrzył z wyżyn
Po onej ziemi
Na one chaty —
Powiedz-że, krzyżu!
Ty, drzewo Boże,
Jakie to echa,
Co zmierzch wieczorny,
Co ranne zorze,
Niesie ta strzecha?
Co do twojego
Lgnęło ramienia
Z duszy prostaczej?
Czy więcej było
Łez dziękczynienia,
Czy łez rozpaczy?
Czy te dni wszystkie,
Co cię witały
Na skraju wioski,
Wesela więcej
W swych świtach miały,
Czy więcej troski?
Czem przemawiała
W swoim pacierzu
Dziatwa do ciebie?
Powiedz-że krzyżu!
I zaświadcz, krzyżu!
Zaświadcz tam! w niebie!

KOCHAJĄCA MATKA.

Co czyni każda kochająca matka?

Na to pytanie odpowiada „Przewodnik Praktyczny“ w ten sposób:

Dobra matka nigdy nie chwali, ani nie gani swych dzieci w obecności obcych.

Ona wszczepia w serca swych dzieci zamiłowanie do wszystkiego, co piękne i dobre i ochrania je od złych wpływów.

Ona stara się rozjaśniać im dzieciństwo i młodość, by dzieci jej, zawsze z przyjemnością wracały myślą do błogo spędzonych lat dziecięcych.

Ona stara się rozjaśniać im życie z jak najlepszej strony.

Dobra matka kocha wszystkie swe dzieci jednakowo, żadnych nie wyróżnia, ani nie zaniedbuje, chociażby dzieci nie były jednakowo dobre.

Dobra matka nie podlega humorom w odmawianiu próśb, lub wzbranianiu czegoś dziecku. Daje zawsze poznać ukaranemu przez nią dziecku, że karać je jest dla niej przykrością i zawsze po karze przygarnia dziecię z tą samą miłością do serca.

Matka kochająca zniża się do poziomu myślenia swych dzieci i zawsze dla nich stara się być miłą. Ona zawsze zwraca troskliwą uwagę na ich postawę, trzymanie się, nawyczki i oducza ich brzydkich nałogów i manier.

Dobra matka uczy swoje dzieci zachowania się względem starszych i niższych.

Nie będzie pozwalała im na dręczenie zwierząt. Ona uczy dzieci swe kochać i szanować starszych i przełożonych. Nie ścierpi, aby dzieci były między sobą fałszywemi.

Dobra matka nie pozwoli dzieciom swym lekceważyć kalek i ułomnych, lub naśmiewać się z nich. Ona przypomina sobie z dni swojej młodości, co jej smutek lub radość sprawiało i według tego wychowuje swoje dzieci. Pozwala chętnie w niektórych wypadkach być dzieciom samodzielnemi, bo wie, że najbardziej przekonywującemi są własne doświadczenia. Ona zahartowuje swe dzieci na wiatry i zmiany pogody i odzwyczaja je zbytniej tkliwości w odczuwaniu przykrości i ciosów w życiu.

Nakładem redakcyi „Prawdy“. Kraków. — Czcionkami „Katolika“, spółki wyd. z ogr. odp., Bytom.